

# Troje kursantów i instruktor

Maciej Kuczyński

Jesienią 1992 r. w Morskim Oku odbywał się jeden z licznych kursów wspinaczkowych, organizowanych przez kluby taternickie zrzeszone w Polskim Związku Alpinizmu. Prócz zajęć teoretycznych, adeptci, pragnący zdobyć uprawnienia do samodzielnych wspinaczek, pokonywali skalne drogi pod kierunkiem instruktorów. Jeden z nich, należący do najbardziej doświadczonych i obytych z górami, mający w swym dorobku niezliczone drogi i udział w alpinistycznych wyprawach, oswojony z zimą, ze skałą, śniegiem i lodem, pięćdziesięcioletni Jerzy Hirszowski pragnął pokazać trójce swoich kursantów prawdziwie piękną i wysokogórską drogę w masywie Wielkiego Mięguszowieckiego Szczytu. Zwlekał z wyruszeniem ponieważ pogoda była „niezdecydowana”, nadejść zmiana lecz zapowiedzi wciąż się nie sprawdzały. Warunki były wystarczająco dobre, aby zespoły wyruszające na ściany kończyły pomyślnie swe drogi i schodziły na dół. Toteż, gdy kolejnego dnia nie przyszło oczekiwane pogorszenie, uznał, iż pogoda jeszcze jeden dzień wytrzyma i zespół zdąży przejść niezbyt długą drogę.

Wybrał w tym celu drogę Świerza, prowadzącą środkiem wschodniej ściany Mięguszowieckiego, znacznie krótszą niż wiele innych dróg na okolicznych ścianach, ponieważ zaczyna się wysoko, w górnej części Kotła Mięguszowieckiego, a pokonanie około 400 m różnicy poziomów do szczytu zajmuje w warunkach letnich zaledwie trzy i pół godziny. Zdawało się, że w tym czasie niewiele może się zdarzyć. A gdyby nawet, to znalezienie zejścia ze szczytu, także przy złej pogodzie, dla znającego teren Hirszowskiego nie stanowiło problemu.

Tak więc, wczesnie rano, dnia 4 września, przy utrzymującej się nadal nie najlepszej pogodzie, instruktor z trzema kursantami wyruszył pod ścianę. Zespół stanowili: dziewiętnastoletnie Magdalena Dąbrowska i Małgorzata Czubasiewicz oraz o rok starszy Marcin Tomczyk. Na miejsce dotarli podchodząc turystycznym terenem od Czarnego Stawu pod Rysami do Mięguszowieckiego Kotła i przez kocioł, po rumowiskach i piargach, stromo w górę do podnóża ściany, gdzie związali się liną.

Wspinaczka postępowała sprawnie. Grzędą, na małą kazalnicę, piarzystym półkiem, spiętrzonymi skałkami, po urwistych trawach, zacięciami, zachodem przecinającym ścianę, załupą pod okapami, pionowym kominkiem, gdzie dłoń trzeba klinować w pionowej szczelinie, skalnymi listwami. Wznosili się niedostępnym urwiskiem, ziemia zostawała w dole. Byli podnieceni mając dać im wyższy stopień górskiego wtajemniczenia wspinaczką na "Mięgusza", jednego z najwspanialszych tatrzańskich olbrzymów. Jak radosna muzyka brzmiał w uszach stukot młotka wbijającego haki. Dźwięczały coraz wyższymi tonami których tajemnicze echa krążyły w zamkniętej przestrzeni Kotła Mięguszowieckiego Wtórowały im zwykłe okrzyki taternickiego dialogu, upewniające wszystkich, iż wspinaczkowy rytuał przebiega bez zakłóceń: Popuść! Ściągaj linę! Asekuruj! Lina wolna! Możesz iść! Idę!

Niebo pociemniało, zza grani wypęły szare chmury i zaczęło kropić. W ciągu kilku minut wszystko się odmieniło. Tkwili w mrocznych skałach, wilgotny granit i trawki nasiąknięte wodą straciły swój urok. W tej chwili należało zdecydować: iść dalej czy przerwać wyprawę i cofnąć się zjeżdżając pod ścianę. Postanowili się wspinać. Hirszowski widać uznał, że deszcz nie jest poważną przeszkodą, nawet jeśli między krople wmieszały się płatki śniegu. Ruszyli do góry, byli już w

połowie ściany i zdawało się, że droga do szczytu nie zajmie więcej czasu niż zjazdy odcinkami, kolejno czterech osób.

W południe do wierzchołka brakowało im nie więcej jak 150 metrów, zbliżali się do łatwiejszego, tracącego na stromiznie terenu. Lecz wtedy nastąpiło gwałtowne pogorszenie pogody. Z minuty na minutę wiatr przybierał na sile, a temperatura spadała. W krótkim czasie deszcz zmienił się w śnieżycę. Znaleźli się w innym świecie, w innej porze roku. Na góry spadła zima.

Widoczności nie było, huczące strugi wichury niosły gęstą, nieprzejrzywą, pulchną masę śniegu, osiadającą na skałach, twarzach, przemoczonych ubraniach. Na półkach i listewkach rosły w oczach białe czapy. Na oblepionych płytach nie było już widać stopni ani chwytów, śnieg zamaskował szczeliny do wbijania haków. Sztywniały palce i grabiały dłonie zanurzane w śniegu, trzymające zaśnieżoną linę.

Dalsza wspinaczka stała się niemożliwa. Hirszowski zdał sobie sprawę, że ledwie widząc w śnieżycy koniec własnej wyciągniętej dłoni, nie zdoła odnaleźć drogi, założyć ubezpieczeń, nie mówiąc już o tym, że każdy krok w masach śniegu przywierających do ściany i osypujących się po niej, dla zmarzniętych, osłepionych ludzi, może być krokiem w przepaść. Rozważał być może przeczekanie zamieci. Lecz to nie dawało nadziei. Nawet po ustaniu opadu śnieg by pozostał na ścianie. Groził nocleg na mrozie, bez żadnej osłony. A wiatr, uderzając w granitową zapórę, kłębił się przy niej, szalał, wznosił się i spadał wirami, kręcił biczami śniegu, szarpał ubrania, targał liną, odbierał oddech, mroził, wywiewał odwagę.

Jedynym ratunkiem był odwrót zjazdami. Śnieg w tym nie przeszkadzał, w dodatku w tej ścianie można było zjeżdżać na ślepo, zakładając pośrednie stanowiska na szerszych półkach, których nie brakowało. Ich wyszukiwanie i torowanie drogi mógł wziąć na siebie. Kursantom pozostawałyby jedynie, dobrze już przez nich opanowane, zjazdy jego śladem.

Młodzi nie stracili otuchy, w końcu był z nimi stary górski wyga, który nieraz z podobnych opresji wychodził. Mieli jeszcze sporo siły, zimno można było wytrzymać, a zjazdy dawały nadzieję, że już za dwie, trzy godziny znajdą się na dole, w bezpiecznym terenie.

Ruszyli na dół. Hirszowski zjechał pierwszy i natrafiwszy na szeroką półkę, zatrzymał się na niej. Butami odgarnął zaspę. Miejsca było dosyć, aby swobodnie i bezpiecznie pomieścić cztery osoby, bez potrzeby wbijania haka i przypinanie się do niego. Przekrzykując wichurę zawiadomił, że lina jest wolna. Zjechali po kolei, na oślep, ze strugami osypującego się śniegu, coraz bardziej zmarznięci i przemoczeni. Znowu znaleźli się razem. Rozgrzewając się ruchem ściągali za sobą linę. Zeszła bez kłopotu i zacięć, choć strącając im na głowy prawdziwą lawinę. To nie miało znaczenia, śnieg i tak był wszędzie, spadał z nieba falą, a mroźny wiatr zagipsowywał nim twarze.

Następny odcinek. Byle ku dołowi... Oszczędzając czasu na manipulacje z hakiem, Hirszowski wykorzystał głaz granitowy odstający od ściany. Zarzucił nań pętlę, na niej zawiesił linę, wpiął ją w przyrząd zjazdowy, połączony z szelkami, odchylił się do tyłu i zaczął zstępować.

Głaz pod jego ciężarem drgnął, przewrócił się i stoczył za krawędź, razem z opartym oń Tomczykiem, który upadł straciwszy równowagę, a padając próbował złapać potrafił Dąbrowską, pociągając ją z sobą. Wszyscy troje runęli, na oczach zmartwiałej Czubasiewicz, niktąc w białym тумanie pod jej stopami i spadali w otchłań wzdłuż ściany, która nie jest pionowa ani przewieszona tak jak Kazalnica, więc uderzali o półki, odbijali się od żeber, od granitowych balkonów, staczali z pochyłych trawników, coraz bardziej nieczuli, z coraz większą siłą, szarpani przez skalne zęby, krawędzie, ostrogi, aż po przebyciu 250 metrów, z głuchym wstrząsem ich szczątki wbiły się w piargi pod ścianą. Białe, ciche płatki poczęły je okrywać lodowatym całunem. Wkrótce znikły pod śniegiem.

Na półce, w środku ściany, zawieszona w kłębiącej się wichurze, tkwiła zszokowana i

śmiertelnie przerażona dziewczyna. Cały świat się zawalił i nic już nie miało znaczenia: przebojowa wspinaczka, wystrzałowa droga, piękny szczyt, wdechowa przygoda, kumple i kumpelki, taternicki świątek... To wszystko się rozwiało jak ulotny dymek, pozostała naga prawda o śmierci i życiu, już w nic nie przybrana, surowa, bezlitosna, elementarna materia istnienia. Tkwią tam, samotna, jak tylko samotny może być człowiek, porażony śmiercią, oślepiiony zamiecią, wiszący nad otchłanią, ogłuszany i szarpany wichurą, przenikany chłodem i dręczony głodem. Nadeszła noc z tężejącym mrozem. Po ścianie osypywały się na ramiona, na głowę coraz obfitsze wodospady śniegu. O którejś godzinie spróbowała wołać. Pamiętała, że zdarza się, iż przy bezwietrznej pogodzie przed schroniskiem słychać nawet rozmowy taterników w ścianach. Wołanie dociera z daleka, nad taflą jeziora. Lecz teraz wiatr porywał jej głos, rozpraszał i zagłuszał swym wyciem, świstem, dudnieniem na grzędach i wyszczerbionych graniach. Jednak nie pozostało jej nic innego, nie miała liny, śpiwora, płachty biwakowej, jedzenia, kuchenki gazowej. Mogła tylko liczyć na ludzi, którzy dla niej, na jej wezwanie, aby ją ratować, zechcą narazić siebie, wejść w tę zawieruchę, pomiędzy szalejące żywioły.

Następnego dnia rano, gdy zespół nie powrócił, w schronisku wszczęto alarm i dyżurny ratownik wysłał dwa patrole złożone z taterników, jeden do Kotła, drugi do Doliny za Mnichem, na dwie prawdopodobne drogi zejścia grupy Hirszowskiego. Nadal wiał porywisty wiatr, trwał gęsty opad śniegu, w dodatku gęsta mgła spowijała góry. Z Zakopanego ruszyła wyprawa czternastu ratowników, a na prośbę TOPRu Horską Służba rozpoczęła przeszukiwanie południowych stoków Mięguszów.

O godz. 11.00 patrol z Kotła zameldował przez radio, że przez wichurę przebija się niewyraźne wołanie, jak się wydaje, od strony Filara Wielkiego Mięguszowieckiego Szczytu, ograniczającego wschodnią ścianę z prawej strony. Po upływie godziny przyszedł kolejny meldunek, iż od czasu do czasu słabe wołanie nadal się odzywa, lecz jakby z miejsca niższego niż poprzednio, co trudno ocenić w świszczącym wietrze i przy widoczności zaledwie kilkunastometrowej. Z kolei patrol z Doliny za Mnichem doniósł, że w zwałach śniegu raz po raz gubią ścieżkę, a kurtyna śnieżycy tylko na chwilę odsłoniła Małą Galerię Cubryńską. Próba wejścia na nią skończyła się na niczym. Obsuwając się z kaskadami śniegu, unikając lawin, musieli zawrócić.

Okolo godz. 13.00 zespół ratowników, brnąc do pasa w śniegu, przy widoczności zerowej, w oślepiającej zadymce, zdołał wejść na górne siodełko Filara, skąd przy lepszej pogodzie miałby już wgląd w ścianę. Pozostali ratownicy gromadzący się w Morskim Oku weszli do Kotła, zakładając tam wysuniętą bazę, skąd prowadzili poszukiwania w kilku kierunkach. Nie udało się próba dotarcia na Przełęcz pod Chłopkiem. Wołania w kierunku wschodniej ściany nie miały odzewu. Również bezowocne były poszukiwania u jej podnóża. O zmroku wszyscy powrócili na dół.

O godz. 19.00, w ciemnościach, kolejnych pięciu ratowników wyruszyło z zadaniem wejścia na Galerię Cubryńską. O północy wrócili, dotarłszy zaledwie do Pleców Mnichowych, pokonani przez zwały śniegu i zerową widoczność, wyczerpani i przemoczeni na wylot. Wyprawę zawieszono do rana. Kolejny poranek, 6 września, nie przyniósł żadnej zmiany. Wiatr wiał z siłą 25 m/sek, temperatura wynosiła -3 stopnie C, głęboki niż sypał w górach gęstym śniegiem i deszczem w dolinach. Mimo to o godz. 8.00 z Centrali wyruszyło 21 ratowników, zmuszonych po drodze do usuwania grubych świerków zwałonych na szosę do Morskiego Oka. Wyruszyli ze schroniska podzieleni na pięć zespołów. Pierwszy zdołał wprawdzie wdrzeć się na Wielką Galerię Cubryńską, lecz z powodu niezwyklegroźnego zagrożenia lawinami i trudności z torowaniem drogi, utknąwszy w zaspach, musiał się wycofać. Drugi powrócił ze Żlebu Mnichowego nie napotkawszy tam śladu zaginionych. Podobnie zespół z Małego Kotła. Nie udało się też kolejna próba dotarcia na Przełęcz pod Chłopkiem. Jednak jeden z zespołów pokonał Wrota Chałubińskiego i szedł do Doliny Piarzyskiej. Tam, po próbie poszukiwań przy zerowej widoczności, zdecydował się zejść do Doliny

Koprowej i wrócić przez Łysą Polanę.

O godz. 20.00 wszystkie zespoły znalazły się w Centrali. Ratownicy, wyczerpani, przemoknięci i przewiani na wylot, nie mogli spojrzeć sobie w oczy. Oni, najlepsi z najlepszych, z wielkim doświadczeniem zimowym, himalajskie i alpejskie wygi, zostali zatrzymani przez śnieżycę w terenie znanym im jak własna kieszeń! To niepowodzenie byłoby jeszcze do zniesienia, gdyby nie dojmująca świadomość, że nie mogą spełnić swego powołania - ratowania życia. Cofnęli się, wiedząc, że w ścianie ginie samotny człowiek czekający na nich, ufający, że nadejdą w porę, że wyrwą go śmierci i otoczą opieką.

7 września warunki nie uległy zmianie. Ratownik, który udał się do Kotła celem przepatrzenia ściany w chwili rozjaśnienia, niewiele zobaczył. Silny wiatr porywający śnieg ze skał przesłaniał urwisko nieprzejrzystą kurtyną.

8 września nastąpiła lekka poprawa pogody. Od wczesnego rana polski i słowacki śmigłowiec krążyły wokół masywu. Pieszy zespół wszedł ponownie do Kotła. O godz. 9.00, z pokładu słowackiej maszyny Alouette, Piotr Malinowski, kierujący wyprawami, dostrzegł zwłoki zawiewane śniegiem na półce w środku ściany. Niebawem trójka ratowników, wysadzona na szczycie Miękusowieckiego, rozpoczęła ryzykowne zjazdy, wśród obsuwającego się śniegu, obrywających się skorup lodowych, po oblodzonych płytach, pod obstrzałem spadających kamieni. Na półce znaleźli zwłoki zamrożonej dziewczyny. Oblodzone, ważyły ponad sto kilogramów. Nie widząc możliwości transportu do grani, skąd mógłby zabrać je śmigłowiec, zaczęli opuszczać je na dół. Jednak około stu dwudziestu metrów nad podstawą ściany musieli zrezygnować. Zadanie stało się zbyt niebezpieczne pod nieustannym i wzmagającym się obstrzałem lodu i kamieni. Zabezpieczywszy zwłoki, zjechali do Kotła.

W tym samym czasie, ratownicy przeszukujący Kocioł, odnaleźli odłamki kości czaszki i strzępy mózgu. Było to wskazaniem, że pod śniegiem znajdują się co najmniej jedne zwłoki. Noc przerwała akcję.

9 września, po kilku godzinach sondowania i przekopywania kilkumetrowych już warstw śniegu, natrafiono na linę wspinaczkową. Kopiając wzdłuż niej, odkryto na koniec ciała dwojga taterników. Z powodu ciężkich obrażeń, z trudem rozpoznano Magdalenę Dąbrowską i Marcina Tomczyka. Po dalszej godzinie dokopano się w odległości ośmiu metrów do spoczywających poniżej zwłok Jerzego Hirszowskiego. Po południu śmigłowiec zabrał ciała do Zakopanego.

9 września, wczesnie rano, słowacki śmigłowiec zawisł przed ścianą, a ratownik opuszczony na linie, przypiął do niej pozostawione tam zwłoki Małgorzaty Czubasiewicz i został przeniesiony wraz z nimi do Morskiego Oka, skąd ciało zabrała do kostnicy karetka zakładu pogrzebowego. Nigdy się nie dowiemy, co naprawdę się stało w tej fatalnej chwili, gdy Jerzy Hirszowski szykując się do zjazdu runął w przepaść, pociągając za sobą dwoje towarzyszy.

Jednym z uczestników tej akcji ratunkowej był, przez zupełny przypadek, znany dziennikarz, taternik i ratownik-ochotnik, Andrzej Skłodowski z Warszawy. Przyjechał do Zakopanego z żoną, zamierzając nazajutrz przekroczyć granicę celem spędzenia urlopu w Tatrach Słowackich. Tam jednak, odwiedzwszy Centralę Pogotowia, usłyszał od ówczesnego naczelnika TOPR Piotra Malinowskiego, iż musi odłożyć swoje plany i wesprzeć ekipę ruszającą do Morskiego Oka, pobierając w tym celu z magazynu ekwipunek zimowy, buty, czekan, raki. Zdziwił się, bo był to zaledwie początek września, a w Zakopanem siał deszcz. Posłuchał, ale dotarłszy nocą do Morskiego Oka, gdzie było wprawdzie zimniej, ale również lało, z trudem powstrzymał się

od uszczypliwej uwagi na temat owych raków. Za chwilę zrozumiał jak bardzo się mylił. Gdy siedział w schronisku pijąc herbatę, drzwi się otworzyły i do wnętrza wtoczyła się grupa ratowników powracających z Kotła Mięguszowieckiego. Zaledwie ich poznawał, mieli ściągnięte mrozem twarze, a na sobie lodowe skorupy. Gdy podskoczył do Władysława Cywińskiego, pytając, co się dzieje w górze, usłyszał w odpowiedzi, że szaleje tam prawdziwe zimowe piekło. Niebawem miał się sam przekonać, że nastąpiło najdramatyczniejsze załamanie letniej tatrzańskiej pogody, jakie kiedykolwiek widział. Na poziomie jeziora padał deszcz, o trzysta metrów wyżej deszcz ze śniegiem, dalsze sto metrów i śnieżycą, zaś na dwóch tysiącach metrów oblodzenie i schodzące lawiny.

Pierwsze poszukiwania zaginionych nie dały wyniku, nie wiadomo było gdzie się w ogóle znajdują. Hirszowski nie miał radia. Upłynęły dwie doby, mimo niebezpieczeństwa szanse ratunku istniały. Jeśli zespół ukończył drogę, mógł schować się pod kamieniami albo zejść do Doliny Piarzystej, na słowacką stronę. Mógł być jeszcze w ścianie, lecz także na którejkolwiek z dróg zejściowych.

O godz. 19.00 ruszył patrol do Doliny za Mnichem, z zamiarem ewentualnego dotarcia na Przełęcz Hińczową. Skłodowski zaczął błogosławić zimowe buty jakie włożył na nogi. Rozmięknięta breja wkrótce stała się głębokim śniegiem. Mimo iż zespół składał się z ratowników znających tu każdy kamień, mieli trudności ze znalezieniem drogi. Huraganowy wiatr miótł śniegiem. Nieprzejrzysta zasłona padających płatków, ciemności i mgła sprawiły, iż wyszli za wysoko. Zdali sobie sprawę, iż szansa napotkania kogokolwiek, jeśli nie wejdzie się wprost na niego, jest żadna. O wejściu na przełęcz nie było nawet mowy. Po kilku godzinach kręcenia się na ślepo, jak pies za własnym ogonem, musieli zawrócić.

O godz. 5.00 ponownie wyruszyli. Trzydziestu ratowników, podzielonych na zespoły skierowało się w różne strony, stwierdzając niebawem, że to co w lecie jest tu zwykłą turystyką, teraz stało się niebezpiecznym alpinizmem zimowym. Zdawali sobie sprawę, że w tych warunkach, wręcz wiejących grozą, szansa przeżycia taterników nie posiadających odpowiedniego wyposażenia jest znikoma. Sądzieli, iż już nie żyją. Nie miało to zresztą wpływu na bieg poszukiwań. Wiedzieli, że jak zawsze zrobią wszystko, co w ich mocy, nie ustając aż do całkowitego wyjaśnienia. Niebawem mieli się przekonać, że to wszystko ma swoje granice. Jeden z patroli, złożony z najlepszych, najmłodszych, najsprawniejszych i najsilniejszych ratowników, po całodziennych usiłowaniach dostania się na Przełęcz pod Chłopkiem turystyczną ścieżką, został zmuszony do odwrotu! Skłodowskiemu "zjeżyły się włosy na głowie", kiedy uświadomił sobie, jakie to musiały być warunki, z którymi nie poradzili sobie nawet znajdujący się w zespole dwaj alpinści, którzy zaledwie przed rokiem wspinali się północną ścianą Eigeru!

Sam poszedł z zespołem mającym przepatrzeć zwykłe zejście z Mięguza, przez Hińczową Przełęcz. Z pozoru zadanie było proste. Zaczęli torowanie od zakosów na "ceprostradzie", ale całe godziny stracili, nim udało się wejść na Kopę Mnichową i Zadnią Galerię. Ściany pokrywało coś, co nie było ani śniegiem, ani lodem, lecz rodzajem lodowej szadzi, która obrywała się pod własnym ciężarem, uniemożliwiając zbliżenie się do jakiegokolwiek skały. Ciężkie skorupy sypały się nieustannie, bombardując podnóże ścian. Przebijając się metr za metrem w górę, porozumiewali się z pomocą radia, bo na odległość dwudziestu metrów nie było już słycać okrzyków. Poręczowali linami zwykłą letnią ścieżkę w nieustannym łoskocie spadających szadziowych panczerzy i odrywanych przez nie kamieni. Skłodowski, podobnie jak inni, szedł z duszą na ramieniu, wiedząc, że w każdej chwili może zginąć, trafiony takim pociskiem. Po zaporeczowaniu całego trawersu zaczęli wychodzić na górę, szarpani wiatrem o sile orkanu. Maciej Pawlikowski, który jako pierwszy zdołał przekroczyć krawędź Wielkiej Galerii, przeczołgał się jeszcze czterdzieści metrów, wgniatany podmuchem, który zmiatał wszystko cokolwiek wystawało nad powierzchnię śniegu. Po dwunastu godzinach zmagania na drodze, którą w lecie pokonywali wzwwyż w ciągu półtorej godziny, na dół w ciągu czterdziestu pięciu minut, musieli się wycofać. Porozstawiani wzdłuż poręczówek,

widzieli jak są zasypywane lodowym żużlem i kamieniami, które lada chwila mogły trafić kogoś w głowę.

W radiotelefonie słyszał Skłodowski meldunki innych patroli. Ratownik, który zdołał przepelznąć przez Wrota Chałubińskiego, krzyczał, że spadł z drugiej strony i nie ma odwagi czołgać się z powrotem. O jakichkolwiek poszukiwaniach nie było jego zdaniem mowy. Postanowił schodzić na słowacką stronę.

Wszystkie patrole zostały wycofane. Wróciły na noc do Zakopanego. Przez cały następny dzień nie było najmniejszej zmiany, lecz kolejny przyniósł lekką poprawę pogody. Wrócili do Morskiego Oka, piłami mechanicznymi torując drogę przez zatory pni zwalonych przez huragan na szosę. Gdy pojawiły się w końcu przejaśnienia, Piotr Malinowski wezwał śmigłowiec, ale Pogotowie dysponowało wtedy maszyną Mi-2, która w tych warunkach mogła latać tylko z szybkością samolotu, a więc o żadnym przepatrywaniu terenu nie mogło być mowy. Poproszeni o pomoc Słowacy, przysłali swoją Alouette, od lat używaną w Alpach przez Francuzów, z której pokładu Malinowski wypatrzył w ścianie czyjeś zwłoki leżące w załupie, na drodze Świerza, kilkadziesiąt metrów poniżej wyjścia na filar. Trzech ratowników zostało dostarczonych kolejno na grań, skąd zjechali i stwierdzili, że to ciało dziewczyny.

W tym czasie Skłodowski i Janusz Śmiałek przeszukiwali podnóże ściany i tam znaleźli przypadkiem namacalne ślady tragedii, kawałki czaszki. Przypadkiem, bo nadal nie było możliwości zbliżenia się pod ścianę, z której nieustannie sypała się ta lodowa lawina. Zrobili to w ten sposób, że jeden przywiązany do liny biegł pod ścianę, obserwowaną przez drugiego, po czym na okrzyk "leci!" rzucał się z powrotem. Za którymś tam skokiem, na grzbiecie żeberka, znaleźli szczątki kości i ciała.

Dopiero następnego dnia udało odnaleźć się pod zwałami śniegu rozbite ciała trojga taterników. Ta akcja nie osiągnęła celu, lecz stała się przykładem ostatecznego, dramatycznego zaangażowania się ratowników, bojących się i świadomych, że w każdej chwili mogą zginąć. Pokazała także, iż są granice możliwości Pogotowia. Latem niemal ich nie ma, wszędzie można jakoś dotrzeć, nawet we mgle i ulewie. Zdaniem Skłodowskiego, którego specjalnością górską są wspinaczki zimowe, istniało skrajne zagrożenie. Nigdy w swej praktyce, podczas trzydziestu sześciu sezonów, nie widział takiego piekła, takiej lodowej polewy, latających w powietrzu kawałów, świszczących wokół głowy.

Cytowany fragment dotyczy dramatu, który kilka lat temu wstrząsnął środowiskiem. Ta bardzo rzetelnie przedstawiona wersja wypadku pochodzi z książki Macieja Kuczyńskiego pod tytułem "Tatrzańskie dramaty". Opisane są w niej tatrzańskie tragedie, których udziałem byli: turyści, taternicy i grotolazi. Książka ukazała się w wydawnictwie ABC Future, plac Słoneczny 4, 01-528 Warszawa.